

Po stronie dyktatorów i okupantów

12 lutego 2011

Arabska zima ludów nie ma tak dobrej prasy jak różne miłe Zachodowi kolorowe rewolucje. Najwyraźniej demokracja demokracji nierówna – w ocenie liczą się wciąż kolor skóry, wyznanie i... położenie względem złóż ropy naftowej.

Wydarzenia w Tunezji i Egipcie zmroziły utrzymujące się przy władzy w regionie reżimy. Lęk przed widmem możliwej demokracji połączył króla Arabii Saudyjskiej, premiera Izraela i protegowanego tego ostatniego, prezydenta Autonomii Palestyńskiej. Najdonośniej słychać ostrzeżenia formułowane w Tel Awiwie, co zresztą nie powinno nikogo dziwić. Izrael, nieco na wyrost mianujący siebie jedyną demokracją na Bliskim Wschodzie, nie pierwszy już raz stara się paraliżować demokratyczne procesy u swych sąsiadów.

Za niewłaściwy wybór dokonany w wolnych wyborach do parlamentu Autonomii w styczniu 2006 r. izraelska armia okupacyjna do dziś karze Palestyńczyków, szczególnie tych obleżonych w Strefie Gazy. Także Liban doświadczył antydemokratycznego resentymentu Izraela, który dokonał krwawej inwazji na jego terytorium latem 2006 r. m.in. po to by zablokować proces integracji Hezbollahu na scenie parlamentarnej w Bejrucie.

Niechć do arabskiej demokracji wykracza jednak daleko poza region. Bliskowschodni dyktatorzy i izraelscy okupanci mogą liczyć na zrozumienie Waszyngtonu i państw europejskich. Zachód zwykle skory do pouczania innych o wartości praw człowieka i demokracji tym razem wykazuje zadziwiającą wstrzeźliwość wobec wyznawanych przez siebie oficjalnie wartości. Inaczej niż to było podczas powyborczych protestów w 2009 r. w Iranie czy niedawnych na Białorusi, tym razem najważniejsze nie są prawa człowieka i wolności polityczne,

ale jakże miła obalanym właśnie arabskim reżimom stabilizacja i zadziwiająca troska o to, czy aby rewolucja wyniesie do władzy odpowiednie siły. Ciekawe, że nikt nie pyta czy opozycjoniści białoruscy i irańscy godni są przejąć władzę, czy może będą gorsi od Łukaszenki i Ahmadineżada? W odniesieniu do krajów arabskich takie pytania są już na porządku dziennym. Co symptomatyczne, jakby na usprawiedliwienie obok pojawia się teza o braku tradycji demokratycznych w tej części świata, co wielu prowadzi do wniosku, że Egipcjanie, Tunezyjczycy czy Syryjczycy nie dorośli jeszcze do samodzielności i grozi im popadnięcie w islamizm. Wygląda na to, że dojrzałością demokratyczną obdarzeni są tylko uczestnicy tych kontestacji, które biją w rządy nielubiane w Waszyngtonie i Brukseli. Wtedy mogą mieszkać nawet na Bliskim Wschodzie – jak Libańczycy protestujący przeciw wpływom Syrii w ich kraju w roku 2005. W przeciwnym razie zawsze usłyszymy kolonialną i ahistoryczną śpiewkę o politycznej niedojrzałości i zagrożeniu fundamentalizmem albo po prostu islamem.

O tym ostatnim chętnie, aczkolwiek wykazując sporą ignorancję, mówił pewien znany w latach 90. katolicki fundamentalista, który dziś sprawuje urząd wicemarszałka sejmu z ramienia partii rządzącej w Polsce. Niestety nie był to odosobniony wyskok polityka znanego ze skrajnie prawicowych poglądów. Straszanie arabską demokracją, za którą rzekomo czał się złowroga figura fundamentalisty islamskiego dobrze wpisuje się w polską politykę w tym regionie.

Strategiczny „wybór atlantycki” postawił Polskę na pozycji wspólnika amerykańskiej agresji w Afganistanie i Iraku, ale także w roli sojusznika autorytarnych reżimów trwających u władzy z łaski USA. Nagroda przyznana przez Lecha Wałęsę królowi Arabii Saudyjskiej to tylko najbardziej karykaturalny przykład sympatii, którą nasza klasa polityczna ma dla protegowanych swego amerykańskiego protektora. Przykładem zdecydowanie mniej zabawnym jest Polskie wsparcie dla polityki

Izraela. Trwa ono od lat i ma tendencje do umacniania się wprost proporcjonalnie do wzrostu agresji i brutalnych poczynań Tel Awiwu. Polscy dyplomaci i europarlamentarzyści mają już na swym koncie próbę wpisania Hezbollahu na listę organizacji terrorystycznych UE, blokowanie konferencji poświęconych prawom Palestyńczyków, wsparcie przyjęcia Izraela w szeregi państw OECD, oraz udane zablokowanie procedury przyjęcia przez ONZ Raportu Goldstone'a (badającego zbrodnie wojenne popełnione podczas izraelskiej ofensywy na Gazę na przełomie 2008- 2009 r.). Warszawa rozwija współpracę wojskową i gospodarczą z Izraelem w czasie gdy wiele państw ją ogranicza pod naciskiem międzynarodowej kampanii wzywającej do bojkotu, wycofania inwestycji i sankcji wobec Tel Awiwu.

Dziś Polska kontynuuje tę niechlubną tradycję przenosząc ją na nowy poziom. Na 24 lutego br. rząd Donalda Tuska zaplanował wspólne posiedzenie z rządem Benjamina Netanjahu. Kontekst bieżący sprawia, że wspólne posiedzenie można odczytać jako manifestację antydemokratycznej solidarności. W końcu nasi ministrowie mają obradować z rządem otwarcie wrogim rewolucji w świecie arabskim. Ważniejsze jest jednak to, że tego rodzaju przedsięwzięcia należy odczytywać jako jednoznaczne poparcie dla izraelskiej polityki wobec Palestyńczyków. Nic dziwnego, że dotychczas było ich zaledwie kilka i nawet Waszyngton nie zdecydował się na taki gest wobec swego wiernego sojusznika. Gdyby ktoś miał pod tym względem jakieś wątpliwości wystarczy przypomnieć, że polscy politycy spotkają się z rządem najskrajniej prawicowym ze wszystkich jakie dotychczas miał Izrael. Z rządem, w którego szeregach są ludzie podejrzewani o zbrodnie wojenne, wzywający do czystki etnicznej na wielką skalę i systematycznie prowadzący już taką czystkę na skalę ograniczoną. Wybór miejsca wspólnego posiedzenia potwierdza najgorsze podejrzenia. Zamiast planowanego wcześniej Tel Awiwu ma to być Jerozolima – miasto, którego status jest sporny, a pod kontrolę Izraela dostało się w wyniku zbrojnego podboju (w 1948 i 1967 r.) i złamania postanowień ONZ. Dlatego posiedzenie będzie nie tylko wyrazem ogólnej akceptacji

polityki okupacyjnej, ale także bardzo konkretnym wsparciem dla obecnych priorytetów Izraela, który prowadzi szeroko zakrojoną operację wysiedlania Palestyńczyków z Jerozolimy Wschodniej i otaczania miasta przez nielegalne kolonie żydowskie. Ta polityka faktów dokonanych, której nie przeszkadzają żadne negocjacje i pokojowe deklaracje zmierza wprost do aneksji.

Świat uznaje za bezprawny izraelski plan odebrania miasta Palestyńczykom i ustanowienia w nim swojej stolicy. Dlatego w izraelskiej Jerozolimie Zachodniej nie znajdziemy żadnych ambasad ani siedzib agend ONZ, i nie zmieniają tego żadne samozwańcze deklaracje, władz izraelskich. Mimo całej swej obłudy i słabości społeczność międzynarodowa konsekwentnie odmawia uznania polityki podboju, czystek etnicznych i aneksji. W tym kontekście wyprawa ministrów premiera Tuska do Jerozolimy jawi się jako ponury precedens.

Jest jeszcze jedna okoliczność, która stawia decyzję polskiego rządu w szczególnie złym świetle. Oto w ciągu ostatnich kilku miesięcy liczne kraje latynoamerykańskie oraz Cypr uznały niepodległość Palestyny w granicach z 1967 r. i ze stolicą we Wschodniej Jerozolimie. Akty te są ważne przede wszystkim dlatego, że zadają cios izraelskiej polityce grabieży coraz to nowych obszarów na terytoriach okupowanych, w tym trwającej „judaizacji Jerozolimy”. Rządzący w Warszawie robią coś przeciwnego. Po raz kolejny, mając usta pełne frazesów o demokracji, prawach i wolnościach stają po stronie tych, którzy je brutalnie łamią – od lat, systematycznie i na oczach całego świata.

Autor: Przemysław Wielgosz

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)